

TRACY CHEVALIER

DZIEWCZYNA Z PERŁĄ



Matka nie powiedziała mi o tej wizycie. Później wyjaśniła, że nie chciała, żebym się denerwowała. Zdziwiło mnie to, ponieważ uważałam, że zna mnie dobrze. Obcy uznaliby, że jestem spokojna. Nie płakałam jak dziecko. Tylko matka mogła zauważyć, że mocniej zaciskam szczęki, a moje i tak wielkie źrenice rozszerzyły się jeszcze bardziej.

Kroiłam właśnie warzywa w kuchni, kiedy usłyszałam głosy przed naszymi drzwiami: kobiecy, jasny niczym wypolerowany mosiądz, i męski — niski i ciemny jak deski stołu, przy którym pracowałam. Rzadko słyszeliśmy w domu podobne głosy. Były w nich bogato zdobione dywany, książki, perły i futra.

Ucieszyłam się, że wcześniej tak porządnie wyszorowałam schody.

Głos matki, jak garnek albo dzban, zaczął się przybliżać od przedpokoju. Szli do kuchni. Przesunęłam pokrojone

pory na miejsce, położyłam nóż na stole, wytarłam ręce w fartuch i ścisnęłam mocno wargi, żeby je wygładzić.

Moja matka weszła pierwsza i rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Za nią pojawiła się kobieta, która musiała się schylić, żeby wejść do środka. Była bardzo wysoka, wyższa niż towarzyszący jej mężczyzna.

Wszyscy w mojej rodzinie, nawet ojciec i brat, byli niscy.

Mimo spokojnego dnia kobieta wyglądała tak, jakby przywiał ją tu wiatr. Czepek miała przekrzywiony, wystawały spod niego drobne jasne loczki przypominające pszczoły, które co jakiś czas próbowała odpędzić. Kołnierz źle leżał i nie był tak wykrochmalony, jak trzeba. Kiedy odrzuciła poły opończy, zauważyłam, że pod jej ciemnoniebieską suknią rozwija się dziecko, które powinno urodzić się tuż przed końcem roku albo jeszcze wcześniej.

Twarz kobiety przypominała owalny półmisek, czasami lśniący i piękny, a czasami powleczony śniedzią. Jej oczy wyglądały jak dwa brązowe guziki, co było rzadkie w zestawieniu z blond włosami. Chciała pokazać, że przygląda mi się uważnie, ale nie potrafiła się skoncentrować. Jej wzrok wciąż błędził po kuchni.

— Więc to jest ta dziewczyna — rzekła nagle.

— To moja córka Griet — potwierdziła matka, a ja skłoniłam się im z szacunkiem.

— No cóż, nie za duża. Czy jest przynajmniej silna?
— Kiedy odwróciła się, żeby spojrzeć na mężczyznę,

zawadziła opończę o leżący na stole nóż. Nóż spadł z trzaskiem i obrócił się parę razy na podłodze.

Kobieta krzyknęła.

— Catharino — upomniał ją spokojnie mężczyzna. Mówił tak, jakby miał w ustach cynamon. Jego żona potrzebowała chwili, żeby się uspokoić.

Podniosłam nóż i wytarłszy ostrze w fartuch, odłożyłam na stół. Ponieważ zawadziłam nim o warzywa, musiałam jeszcze poprawić marchewkę.

Mężczyzna patrzył na mnie oczami szarymi jak morze. Twarz miał pociągłą i kanciastą, o stałym wyrazie, w przeciwieństwie do żony, której twarz przypominała płomień świecy. Nie nosił brody ani wąsów, co mnie ucieszyło, ponieważ dzięki temu wyglądał schludniej. Miał na sobie czarną opończę i białą koszulę z pięknym koronkowym kołnierzem. Kapelusz przykrywał włosy o barwie wymytych deszczem czerwonych cegieł.

— Co robisz, Griet? — spytał.

Zdziwiło mnie to pytanie, ale wiedziałam, że lepiej tego nie okazywać.

— Kroję warzywa, panie. Na zupę.

Zawsze układałam warzywa w kole tak, że każde ma w nim odpowiednie miejsce, niczym kawałki tortu. Tym razem było ich pięć: czerwona kapusta, cebula, pory, marchewka i rzepa, przy czym okrągły środek wypełniała marchewka. Żeby je tak uformować, użyłam tępej części ostrza.

Mężczyzna postukał palcem w stół.

— Czy w tej kolejności wkładasz je do zupy? — zapytał, oglądając koło.

— Nie, panie... — Zawahałam się. Nie potrafiłam wyjaśnić, skąd taki układ warzyw. Po prostu czułam, że tak właśnie powinny leżeć, ale bałam się to powiedzieć.

— Widzę, że oddzieliłaś odcienie bieli — rzekł, wskazując kawałki rzepy i cebuli. — A dlaczego pomarańczowy i fioletowy nie są obok siebie?

Wziął do ręki kawałek kapusty i marchewki i potrząsnął nimi, jakby to były kości do gry.

Zerknęłam na matkę, która skinęła lekko głową.

— Bo te kolory się kłóca, kiedy są obok siebie, panie.

Unióśł brwi, jakby nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

— A czy ułożenie tych warzyw zajmuje ci dużo czasu?

— Nie, panie — odparłam nieco zmieszana. Nie chciałam, żeby uznał mnie za nieroba.

Kątem oka zauważyłam jakiś ruch. To moja siostra Agnes zajrzała ukradkiem do kuchni i pokręciła głową, słysząc tę odpowiedź. Rzadko zdarzało mi się kłamać. Spuściłam głowę.

Mężczyzna obrócił się lekko i Agnes zniknęła. Zaraz też odłożył kawałki marchewki i kapusty do pozostałych warzyw. Kapusta trafiła do cebuli. Chciałam sięgnąć i położyć ją na właściwym miejscu, ale się powstrzymałam. Jednak on zauważył mój ruch. Chciał mnie w ten sposób sprawdzić.

— No, dosyć już tego gadania — rzekła kobieta. Mimo że denerwowało ją to, iż poświęcał mi uwagę, to na mnie

skierowała swój gniew. — Zaczyna od jutra, prawda? — Popatrzyła jeszcze na męża, zanim wyszła z pokoju.

Za nią wyślizgnęła się moja matka. Mężczyzna spojrzął raz jeszcze na warzywa, a potem skinął mi głową na pożegnanie i ruszył za kobietami.

Kiedy matka wróciła, siedziałam przy tym, co miało stać się zupą. Czekałam, aż zacznie mówić. Kuliała ramiona, jakby chroniąc się przed mroźnym wiatrem, mimo lata i ciepła panującego w kuchni.

— Masz jutro zacząć pracę jako ich służąca. Jeśli będziesz się starać, dostaniesz osiem stuiverów dziennie. Będziesz też u nich mieszkać.

Zacisnęłam usta.

— Nie patrz tak na mnie, Griet — poprosiła matka. — Wiesz, że ojciec stracił pracę i nie mamy wyjścia.

— A gdzie mieszkają?

— Przy Oude Langendijck, niedaleko skrzyżowania z Molenpoort.

— W Zakątku Papistów? Więc są katolikami?

— Powiedzieli, że będziesz mogła przychodzić do domu na niedziele.

Matka zebrała rękami kawałki rzepy wraz z drobinami kapusty i cebuli i wrzuciła to wszystko do stojącego na ogniu garnka. Zniszczyła w ten sposób pasma, które tak uważnie ułożyłam.



Wspięłam się po schodach do ojca. Siedział na

poddaszu, tuż przy oknie, wystawiając twarz do słońca. Teraz mógł widzieć już tylko jego blask.

Ojciec zajmował się malowaniem kafli. Jego ręce wciąż nosiły niebieskie ślady po amorkach, pannach, żołnierzach, statkach, dzieciach, rybach, kwiatach i zwierzętach, którymi ozdabiał białe powierzchnie. Jednak pewnego dnia wybuchł piec do wypalania i pozbawił go oczu oraz pracy. I tak miał szczęście — dwaj inni mężczyźni zginęli.

Usiadłam obok i wzięłam go za rękę.

— Słyszałem — rzekł, zanim otworzyłam usta. — Wiem wszystko. — Po tym, jak stracił oczy, znacznie polepszył mu się słuch.

Nie miałam do powiedzenia nic, co nie byłoby wyrzutem.

— Przykro mi, Griet. Chciałbym, żeby spotkał cię lepszy los. — Miejsce zszyte przez medyków, tam, gdzie były jego oczy, nabrało nagle pełnego smutku wyrazu. — Ale to porządny i sprawiedliwy człowiek. Będzie cię dobrze traktował. — Nawet nie wspomniał o kobiecie.

— Jak możesz być tego pewny, ojcze? Czy znasz go?

— Nie wiesz, kim jest?

— Nie.

— Pamiętasz obraz, który widzieliśmy parę lat temu w ratuszu, który van Ruijven wystawił zaraz po tym, jak go kupił? Przedstawiał widok Delftu od strony Rotterdamu i bramy Schiedam. Znaczną jego część zajmowało niebo, a słońce złociło się na murach

budynków...

— A w farbach był piasek, żeby ściany i dachy wyglądały na prawdziwe — dodałam. — A na wodzie leżały długie cienie i najbliżsi nas ludzie byli tacy mali.

— Właśnie. — Oczodoły ojca rozszerzyły się, jakby wciąż miał oczy i w tej chwili oglądał obraz.

Pamiętałam go dobrze. Pomyślałam wówczas, że tyle razy stałam w tym miejscu i nigdy nie widziałam takiego Delftu jak ten malarz.

— To był obraz van Ruijvena, prawda?

— Tak, on jest jego właścicielem. — Ojciec zaśmiał się. — Ale namalował go Johannes Vermeer. To właśnie jego pracownię będziesz sprzątać.



Do tych paru rzeczy, które ze sobą wzięłam, matka dołożyła jeszcze czepek, kołnierz i fartuch, żebym je mogła prać co drugi dzień i w ten sposób wyglądać czysto i schludnie. Dała mi też ozdobny szylkretowy grzebień w kształcie muszli, który należał do mojej babki, zbyt wykwintny jak na potrzeby służącej, i modlitewnik, który miał mi pomagać w zalewie katolicyzmu.

Podczas pakowania wyjaśniła mi, dlaczego mam służyć u Vermeerów.

— Wiesz, że twój nowy pan jest mistrzem gildii św. Łukasza i pełnił tę funkcję w zeszłym roku, kiedy twój ojciec miał wypadek?

Skinęłam głową, wciąż poruszona tym, że będę

pracować dla takiego artysty.

— Gildia dba o swoich ludzi najlepiej, jak potrafi. Pamiętasz, że ojciec wpłacał co tydzień pewną sumę? Otóż te pieniądze dostają ci, którzy są w potrzebie. Tak jak my w tej chwili. Niestety, teraz pomoc się kończy, a przecież Frans wciąż jest czeladnikiem. Dlatego nie mamy wyboru. Nie przyjmujemy pieniędzy z datków na dobroczynność, skoro możemy się bez nich obejść. I kiedy twój ojciec usłyszał, że Vermeer potrzebuje służącej, która mogłaby sprzątać pracownię bez przedstawiania czegokolwiek, natychmiast wspomniał o tobie. Miał nadzieję, że twój nowy pan zdecyduje się nam pomóc, skoro zna naszą sytuację.

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co powiedziała.

— Jak można sprzątać, niczego nie przestawiając?

— To jasne, że będziesz mogła przestawiać rzeczy, ale musisz je potem odstawić na miejsce. Żeby wyglądały na nietknięte. Tak, jak robisz to teraz przy ojcu, odkąd nie widzi.

Po tym, jak ojciec stracił wzrok, nauczyliśmy się odkładać wszystko na miejsce, żeby mógł znaleźć to, czego akurat szukał. Jednak co innego zadowolić ślepacę, a co innego — malarza.



Po tej wizycie nie usłyszałam ani słowa od Agnes. Kiedy położyłam się przy niej, milczała, chociaż nie odwróciła

się do mnie plecami. Leżała, patrząc w sufit. Gdy zdmuchnęłam świecę, zrobiło się tak ciemno, że nie mogłam nic dostrzec. Wówczas obróciłam się do niej.

— Wiesz, że nie chcę odejść. Po prostu muszę.

Cisza.

— Potrzebujemy pieniędzy. Nic nie mamy, od kiedy ojciec przestał pracować.

— Osiem stuiverów za tydzień to wcale nie tak dużo — powiedziała szorstkim głosem, jakby miała pajęczyny w gardle.

— Będziemy mieli za to chleb. I jeszcze coś do chleba. To wcale nie tak mało.

— Będę się czuła samotna. Zostawisz mnie samą jak palec. Najpierw Frans, a teraz ty.

Właśnie Agnes najbardziej z całej rodziny martwiła się, kiedy Frans musiał w zeszłym roku opuścić dom. Żyli ze sobą jak pies z kotem, ale kiedy odszedł, to właśnie ona chodziła całymi dniami nadąsana. Była najmłodsza z nas trojga, miała zaledwie dziesięć lat, i do tej pory zawsze mogła liczyć na towarzystwo kogoś z rodzeństwa.

— Przecież mama i tata zostaną z tobą. Będę was odwiedzać w niedziele. A poza tym wiedziałaś, że Frans zostanie czeladnikiem. — Od lat mówiło się o tym, że po skończeniu trzynastu lat brat rozpocznie terminowanie. Ojciec oszczędzał, jak mógł, żeby opłacić naukę. Mawiał, że kiedy syn nauczy się innych tajników zawodu, będą mogli razem założyć manufakturę.

Teraz ojciec siedział przy oknie i nigdy nie mówił o

przyszłości.

Po wypadku Frans przyszedł na dwa dni do domu. Później już nas nie odwiedzał. Ostatnio widziałam go w manufakturze, gdzie pracował jako czeladnik. Wyglądał na zmęczonego i całe ręce miał poparzone od kafli, które wyciągał z pieca. Powiedział, że pracuje od świtu do nocy i czasami jest zbyt zmęczony, żeby coś zjeść.

— Ojciec nigdy nie mówił, że będzie tak ciężko — mruknął niechętnie. — Zawsze twierdził, że to termin zrobił z niego człowieka.

— Być może — powiedziałam. — Być może zrobił z niego to, czym jest teraz.



Kiedy następnego dnia rano zbierałam się do odejścia, ojciec podszedł do drzwi, wodząc ręką po ścianie. Uściskałam mamę i Agnes.

— Ani się obejrzysz, jak będzie niedziela — pocieszyła mnie matka.

Ojciec dał mi coś zawiniętego w chusteczkę.

— Żeby przypominało ci o domu — rzekł. — I o nas.

To był mój ulubiony, zrobiony przez niego kafel. Inne, które trzymaliśmy w domu, miały jakieś wady — były wyszczerbione, nierówne albo zamazane ze względu na zbyt wysoką temperaturę pieca. Ten jeden ojciec zachował jako świadectwo swego kunsztu. Przedstawiał dwie proste figurki: chłopca i starszą dziewczynkę. Dzieci nie bawiły się, jak to zwykle bywa, ale szły przed siebie. Bardzo

przypominały mnie i Fransa w czasie wędrówki. Zapewne ojciec myślał o nas, kiedy malował ten obrazek. Chłopiec wyprzedził trochę dziewczynkę, lecz właśnie się odwrócił, żeby jej coś powiedzieć. Miał taką minę, jakby chciał coś zbroić, i zmierzwione włosy. Dziewczynka nosiła czepek tak jak ja, nie wiążąc go pod brodą lub na karku jak wiele innych dziewcząt. Najbardziej lubiłam biały, z podwijanym rękawem i opadającymi końcami, który gdy się patrzyło z boku, nie tylko zakrywał całe włosy, ale i twarz. Był sztywny, ponieważ gotowałam go razem z ziemniaczanymi obierkami.

Zaczęłam się oddalać od domu, niosąc rzeczy zawinięte w fartuch. Było jeszcze wcześniej, sąsiadki polewały schody na zewnątrz i ulicę wodą, a następnie szorowały stopnie do czysta. Teraz miała się tym zająć Agnes, podobnie jak innymi moimi obowiązkami. Będzie miała mniej czasu, by bawić się na ulicy i przy kanałach. Jej życie też się zmieni.

Ludzie pozdrawiali mnie, patrząc ciekawie. Nikt nie pytał, dokąd idę, ani nie starał się mnie pocieszyć. Nie było takiej potrzeby. Wszyscy wiedzieli, co się dzieje, kiedy mężczyzna traci pracę. Dopiero później będą mogli opowiadać o małej Griet, która została służącą, i o jej ojcu, który już nie może zadbać o rodzinę. Jednak nikt się nie będzie cieszył. Przecież to samo może się zdarzyć i u nich.

Przez całe życie chodziłam tą ulicą i nigdy nie myślałam o tym, że za plecami mam rodzinny dom. Kiedy jednak

skręcałam, znikając z oczu bliskich, nagle zrobiło mi się źle. Zaczęłam się rozglądać. Poranek był jeszcze chłodny. Gładka szarobiała powierzchnia nieba wisiała nad Delftem niczym prześcieradło, a słońce nie wspięło się wystarczająco wysoko, żeby rozproszyć cienie. Lustrzane wody kanału, przy którym szłam, lśniły bielą, naznaczoną lekko zielenią. Kiedy słońce zaświeci jaśniej, nabiorą jednak ciemniejszej barwy mchu.

Siadywałam tutaj wraz z Fransem i Agnes i rzucaliśmy do wody różne rzeczy: kamyki, kawałki drewna czy kafli, wyobrażając sobie to, w co trafialiśmy. Nie ryby, ale twory naszej wyobraźni, wielkookie, pokryte łuską istoty z rękami i płetwami. Frans wymyślał najciekawsze monstra. Agnes najbardziej się bała. A ja zwykle przerywałam zabawę, zbyt pochłonięta rzeczywistym wyglądem przedmiotów, by jeszcze wyobrażać sobie coś, co nie istnieje.

Na kanale znajdowało się parę płynących na rynek łodzi. Nie był to jednak dzień handlowy, kiedy to kanał tak się zapełniał, że trudno było dojrzeć wodę. Jedna z łodzi wiozła ryby rzeczne do straganów przy moście Jeronymousa. Inna zanurzyła się głęboko z powodu ładunku cegieł. Mężczyzna, który odpychał ją żerdzią od dna, pozdrowił mnie głośno. Skinęłam głową, odwracając się tak, żeby zasłonić twarz rąbkiem czepka.

Przeszłam przez most, a następnie skręcałam na rynek, nawet teraz pełen ludzi, którzy załatwiali różne sprawy: kupowali mięso w hali rzeźnickiej, chleb u piekarza albo

szli ważyć drewno do Domu Wagi. Dzieci załatwiały sprawy rodziców, czeladnicy — mistrzów, a służące — domów, w których pracowały. Wozy zaprzężone w konie przejeżdżały z hałasem po bruku. Po prawej stronie miałam ratusz z połączonym wejściem i twarzami z białego marmuru, spoglądającymi w dół ze zworników okien. Po lewej Nieuwe Kerk, Nowy Kościół, gdzie mnie ochrzczono szesnaście lat temu. Jego wysoka, wąska wieża przywodziła mi na myśl kamienną klatkę dla ptaków. Ojciec zabrał nas kiedyś na jej szczyt. Nigdy nie zapomnę widoku Delftu, jaki się stamtąd rozpościerał. Te małe, ale wyraźne budynki z cegły, spadziste czerwone dachy i zielone kanały pozostaną na zawsze w mej pamięci. Spytałam wtedy ojca, czy wszystkie miasta w Holandii wyglądają tak samo, ale nie potrafił mi odpowiedzieć. Nigdy nie był w innym mieście, nawet w Hadze, do której można było dojść pieszo w ciągu dwóch godzin.

Przeszłam na środek rynku. To właśnie tutaj ułożono z kamieni ośmioramienną gwiazdę w kole. Każde jej ramię wskazywało inną część Delftu. Często myślałam o niej jako o centrum miasta i mojego życia. Bawiliśmy się tutaj z Agnes i Fransem, od kiedy mogliśmy przybiegać na rynek. Nasza ulubiona zabawa polegała na tym, że jedno z nas wybierało ramię gwiazdy i podawało nazwę jakiegoś miejsca lub rzeczy, a potem wszyscy zaczynaliśmy tego szukać. Mógł to być bocian, kościół, taczka albo kwiatek. W ten sposób poznaliśmy niemal całe miasto.

Nigdy jednak nie biegaliśmy do Zakątka Papistów,

gdzie mieszkali katolicy. Dom, w którym miałam pracować, znajdował się tylko dziesięć minut drogi od mojego. Zaledwie tyle czasu, żeby zagotować garnek wody! A jednak nigdy go nie widziałam.

Nie znałam żadnego katolika. W Delfcie nie było ich znowu tak wielu. Żaden nie mieszkał na naszej ulicy i nie korzystał z naszych sklepów. Miasto godziło się na ich obecność, ale nie wolno im było praktykować w ostentacyjny sposób. Ich nabożeństwa miały skromny charakter i odbywały się w budynkach, które nie przypominały świątyń.

Ojciec, który pracował z katolikami, opowiadał, że niczym się od nas nie różnią. A jeśli, to tylko tym, że są mniej poważni. Lubią jedzenie, picie, śpiew i zabawę. Mówił to tak, jakby im zazdrościł.

Teraz wybrałam to ramię gwiazdy, którego zawsze unikałam. Szłam wolno, ponieważ nie chciałam opuścić znajomego bruku. Przeszłam przez most nad kanałem i skręciłam w lewo w Oude Langendijck. Po mojej lewej stronie kanał biegł równolegle do ulicy, oddzielając ją od rynku.

Przy skrzyżowaniu z Molenpoort, na ławce przed otwartym domem siedziały cztery dziewczynki. I to według wzrostu; pierwsza i najstarsza mogła być w wieku Agnes, a najmłodsza miała pewnie ze cztery lata. Jedna ze środkowych trzymała na kolanach niemowlaka, na tyle dużego, że już zapewne raczkował, a niedługo powinien zacząć chodzić.

Pięcioro dzieci, pomyślałam. I szóste w drodze.

Najstarsza dziewczynka wydmuchiwała bańki przez przymocowaną do rurki muszelkę, podobną do tych, które robił nam ojciec. Pozostałe podskakiwały, starając się złapać bańki. Tylko dziewczynka z niemowlakiem nie bardzo mogła brać udział w zabawie, chociaż siedziała tuż obok najstarszej siostry. Również najmłodszemu dziecku udało się złapać zaledwie parę mydlanych baniek. Przedostatnia co do wieku i wzrostu dziewczynka była najszybsza i bez problemu chwyciła je w dłoń. Miała też najbardziej rzucające się w oczy włosy, w ceglastym kolorze domu, przed którym siedziały dzieci. Blond loczki dwóch młodszych dziewczynek przypominały fryzurę ich matki, a miedziane włosy najstarszej — ojca.

Patrzyłam, jak jasnoruda dziewczynka klasnęła, próbując złapać kolejną bańkę nad szarymi i białymi płytkami ułożonymi w ukośnych rzędach przed domem. Wiele nosiło już ślady wilgoci. Z tą będą kłopoty, pomyślałam.

— Staraj się łapać bańki wyżej nad ziemią. Inaczej trzeba będzie znowu szorować płytki — powiedziałam.

Najstarsza odsunęła rurkę od ust. Cztery pary oczu spojrzały na mnie w taki sam sposób, nie pozostawiając wątpliwości, że mam do czynienia z siostrami. Ich twarze nosiły różne cechy rodziców: szare lub brązowe oczy, kanciaste rysy. Nawet ruchy były szybkie i niecierpliwie.

— Czy jesteś naszą nową służącą? — spytała najstarsza.

— Miałyśmy ciebie wyglądać — wtrąciła jasnoruda, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

— Cornelio, idź po Tanneke — poleciła jej najstarsza.

— Ty idź, Aleydis — Cornelia zwróciła się do najmłodszej, która zastygła, wpatrując się we mnie wielkimi szarymi oczami.

— Dobrze, ja pójdę. — Najstarsza zdecydowała, że moje przybycie jest jednak ważnym wydarzeniem.

— Nie, nie! Ja! — Cornelia wyskoczyła przed siostrę i pobiegła do domu, zostawiając mnie ze spokojniejszymi dziewczynkami.

— Czy to wasz braciszek, czy siostrzyczka? — Wskazałam wierzące się na kolanach dziecko.

— Braciszek — odparła dziewczynka głosem delikatnym niczym puchowa poduszka. — Ma na imię Johannes i nie wolno mówić na niego Jan — dodała, jakby powtarzała to do znudzenia.

— Rozumiem. A jak ty masz na imię?

— Lisbeth. A to jest Aleydis. — Najmłodsza uśmiechnęła się do mnie. Obie miały na sobie schludne, brązowe ubranka, z białymi fartuszkami i czepeczkami.

— A starsza siostra?

— Maertge. Tylko nie mów do niej Maria, bo to imię naszej babci, Marii Thins. Ten dom jest jej własnością.

Niemowlę zaczęło płakać, więc Lisbeth podrzuciła je parę razy na kolanie.

Spojrzałam na dom. Był na pewno wspanialszy niż nasz, ale nie tak bardzo, jak się obawiałam. Miał dwa

piętra i mansardę, a nasz tylko jedno, i to niewielkie, poddasze. Stał na rogu Molenpoort, więc był nieco szerszy niż pozostałe domy. Wyglądał też na mniej ściśnięty niż inne domy w Delfcie, stojące jeden przy drugim, z kominami i frontami dachów w kształcie stopni, odbijającymi się w zielonych wodach kanałów. Okna parteru były bardzo wysokie, a na pierwszym piętrze znajdowały się trzy przeszklone, położone blisko siebie powierzchnie, zamiast jak zwykle dwóch.

Od frontu widać było tuż za kanałem wieżę Nowego Kościoła. Pomyślałam, że to nic przyjemnego dla katolików. Kościół, do którego nigdy nie wejda.

— Więc to ty jesteś nową służącą? — usłyszałam głos za plecami.

W drzwiach stała kobieta o szerokiej, naznaczonej śladami przebytej ospy twarzy, nosie jak kartofel i obfitych wargach. Jej oczy były jasnoblękitne i przypominały dwa kawałki nieba. Miała na sobie szaro-brązową suknię, spod której wystawał biały stanik, mocno zawiązany czepek i, nie tak czysty jak mój, fartuch. Blokowała niemal całe przejście, tak że Maertge i Cornelia musiały się przepychać na zewnątrz. Poza tym patrzyła na mnie, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękami, jakby szykowała się do walki.

Czuje się zagrożona, pomyślałam. Będzie mnie terroryzować, jeśli na to pozwolę.

— Mam na imię Griet — odparłam, patrząc jej prosto w oczy.

Kobieta przestąpiła z nogi na nogę.

— Wobec tego chodź do środka — powiedziała po chwili.

Przesunęła się do mrocznego wnętrza, pozwalając mi wejść.

Przestąpiłam próg.

Z tego pierwszego zetknięcia z nowym domem pamiętałam głównie obrazy. Zatrzymałam się tuż za drzwiami, ściskając swój węzełek, i patrzyłam. Już wcześniej widziałam różne malowidła, ale nigdy tyle w jednym miejscu. Naliczyłam aż jedenaście. Największe przedstawiało dwóch walczących, niemal nagich mężczyzn. Ponieważ nie znałam żadnej przypowieści biblijnej na ten temat, zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jest jakiś katolicki motyw. Inne obrazy przedstawiały bardziej znajome rzeczy: leżące owoce, krajobrazy, statki na morzu, ludzi... Wyglądały tak, jakby namalowali je różni malarze. Starłam się zgadnąć, które wyszły spod pędzla mojego nowego pana. Jednak żaden z nich jakoś mi do niego nie pasował.

Później dowiedziałam się, że namalowali je inni malarze. On rzadko trzymał w domu swoje obrazy. Był przecież nie tylko artystą, ale też marszandem, i w całym domu, nie wyłączając mojej sypialni, pełno było malowideł. Ponad pięćdziesiąt, chociaż ich liczba zmieniała się w zależności od tego, jak szedł handel.

— Chodź, nie ma co się gapić po próźnicy. — Moja przewodniczka poprowadziła mnie długim korytarzem,

który wiódł aż na tyły domu.

Przeszłyśmy kawałek, kiedy kobieta gwałtownie skręciła w lewo. W pokoju, na przeciwległej ścianie, wisiał większy ode mnie obraz, przedstawiający Chrystusa na krzyżu. U stóp krzyża stali Matka Jego, Maria Magdalena i święty Jan. Staralam się za bardzo nie gapić, ale zadziwiły mnie temat i wielkość obrazu.

„Katolicy nie różnią się tak bardzo od nas” — twierdził ojciec, ale w naszych domach i kościołach nie było takich malowideł. Teraz miałam je oglądać codziennie.

Zawsze później w myślach nazywałam ten pokój „pokojem ukrzyżowania” i nigdy nie czułam się w nim swobodnie.

Obraz tak bardzo mnie zaskoczył, że nie zauważyłam siedzącej w kącie starszej kobiety.

— No i co, dziewczyno? — zaczęła, a ja obróciłam się w jej stronę. — To dla ciebie coś nowego, prawda?

Siedziała na wygodnym krześle i paliła fajkę. Zęby, w których trzymała cybuch, zbrązowiały od tytoniu, a palce miała poplamione inkaustem. Poza tym jej czarna suknia, koronkowy kołnierz i wykrochmalony biały czepek lśniły czystością. Mimo surowej, pomarszczonej twarzy w jej orzechowych oczach widać było rozbawienie.

Staruszka wyglądała tak, jakby miała przeżyć wszystkich dokoła.

Jest matką Cathariny, pomyślałam nagle. Nie chodziło mi tylko o kolor oczu i siwy lok, który wysuwał się spod czepka jak jej córce. Kobieta wyglądała na taką, która

potrafi zająć się osobami mniej zaradnymi od niej — na przykład Cathariną. Od razu zrozumiałam, dlaczego przyprowadzono mnie właśnie do niej, a nie do córki.

Choć nie wykazała większego zainteresowania moją osobą, wiedziałam jednak, że bacznie mnie obserwuje. Kiedy zmrużyła oczy, zrozumiałam, że zna również moje myśli. Obróciłam się tak, żeby zakryć twarz rąbkiem czepka.

Maria Thins puściła dym z fajki i wydała z siebie zduszony śmiech.

— Tak jest, nie powinnaś z nikim dzielić się swoimi myślami. Więc masz pracować dla mojej córki... Cóż, właśnie wyszła do sklepu. Tanneke pokaże ci wszystko i powie, co będziesz robić.

— Tak, pani. — Skinęłam głową.

Tanneke, która stała obok staruszki, ruszyła jak burza. Pospieszyłam za nią, czując na plecach spojrzenie Marii Thins. Znowu usłyszałam jej śmiech.

Tanneke zaprowadziła mnie najpierw na tyły domu, gdzie znajdowały się kuchnia, pralnia, a także dwie komórki. Z pralni wychodziło się na małe podwórko, gdzie wisały wyprane białe rzeczy.

— Najpierw trzeba to wyprasować — powiedziała Tanneke.

Nic nie odrzekłam, chociaż wyglądało na to, że słońce nie zdążyło jeszcze należycie wybielić prania.

Następnie powiodła mnie do jednej z komórek i wskazała dziurę w podłodze z wystającą drabiną.